



Rozmowy pod patronatem dziekan prof. Aliny Maciejewskiej z okazji zbliżających się rocznic 100-lecia odnowienia tradycji Politechniki Warszawskiej oraz 95-lecia Wydziału Geodezji i Kartografii

Jan Maciej Chmielewski: Z pokolenia na pokolenie

Jak to się stało, że jako architekt rozpoczął pan współpracę z Wydziałem Geodezji i Kartografii?

Jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku profesor Stanisław Białousz zwrócił się do dziekana Wydziału Architektury z pomysłem uruchomienia na Politechnice Warszawskiej kierunku gospodarka przestrzenna, a dziekan skierował go do mnie. Przedsięwzięcie miało być realizowane przez oba wydziały, należało więc podzielić się zadaniami dydaktycznymi, wybrać odpowiednich nauczycieli akademickich i ustalić program nauczania. To zbliżyło mnie siłą rzeczy do geodezji i kartografii. Kiedy prof. Alina Maciejewska doprowadziła do uruchomienia tego kierunku, przez pierwsze lata nauczałem na nim jeszcze jako pracownik Wydziału

Architektury. Po wygaśnięciu nominacji na profesora Wydziału Architektury dostałem propozycję pracy na Wydziale Geodezji i Kartografii na stanowisku kierownika Katedry Gospodarki Przestrzennej i Nauk o Środowisku Przyrodniczym.

Ile trwały przymiarki do uruchomienia kierunku?

Kilka lat, i wcale nie było to takie proste. Okazało się m.in., że na Politechnice nie ma możliwości zorganizowania studiów międzywydziałowych. W związku z tym WGiK wziął na siebie wszystkie sprawy formalne i zlecał godziny dydaktyczne pracownikom Wydziału Architektury. Do tej pory niektóre przedmioty są tak prowadzone, choć ciągle ich ubywa, bo jednak WGiK chce mieć pełną swobodę realizacji nauczania na tym kierunku.

Po 10 latach funkcjonowania gospodarki przestrzennej może pan powiedzieć, że udało się osiągnąć to, co zamierzaliście?

Kierunek na pewno jest trafiony. Zawsze mamy bardzo dużo chętnych do studiowania na tym właśnie kierunku, bywa nawet ponad dziesięć kandydatów na jedno miejsce. Myślę, że oferta programowa, którą opracowaliśmy wspólnie z profesorem Maciejewską, jest bardziej interesująca niż w innych uczelniach kształcących w tym zakresie. Wprowadziliśmy dużo urbanistyki i zajęć z projektowania, dzięki czemu studia nabrały cech zbliżonych do Wydziału Architektury.

A pan czuje się bardziej architektem czy urbanistą?

Decydując się na studia na Wydziale Architektury, marzyłem oczywiście, że będę projektował wspaniałe budynki. Później tak się jednak złożyło, że dyplom robiłem u profesora Kazimierza Wejcherta, który był znaną postacią, m.in. projektantem nowego miasta Tychy na Górnym Śląsku. To on ukierunkował mnie w stronę projektowania urbanistycznego i zaproponował asystenturę w swojej Katedrze Projektowania Urbanistycznego. W latach 60. organizowanych było wiele konkursów architektoniczno-urbanistycznych. Wraz z kolegami z katedry często braliśmy w nich udział. Odnosiliśmy nawet pewne sukcesy, z których najważniejszym była pierwsza nagroda w międzynarodowym konkursie na

Jan Maciej Chmielewski urodził się 6 lutego 1941 r. w Lipnicy Dolnej (woj. podkarpackie). W 1964 r. ukończył studia na Wydziale Architektury PW, przedstawiając pracę magisterską z zakresu projektowania urbanistycznego. Zatrudnił się na macierzystym wydziale, gdzie zaczynał od stażu asystenckiego w Katedrze Projektowania Urbanistycznego. W latach 1967-69 po wygraniu konkursie pracował w gminie Espoo w Finlandii przy projekcie Centrum Espoo. W 1975 r. uzyskał stopień doktora, a w 1982 – doktora habilitowanego. W 1996 r. otrzymał tytuł naukowy profesora. Był naczelnym architektem Warszawy (2003 r.), piastował stanowisko pełnomocnika prezydenta Krakowa ds. opracowania studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego (2008-11). Jest współtwórcą kierunku gospodarka przestrzenna na WGiK PW.



Prof. Jan Maciej Chmielewski z synem Jarno, wówczas jeszcze studentem Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, a obecnie partnerem w kilku projektach architektonicznych, 2000 r.

centrum Espoo w Finlandii. Po wygranej przez dwa lata pracowaliśmy w Finlandii nad tym projektem. Do kraju wróciłem w 1969 r. już z żoną Finką, no i z licznymi kontaktami zarówno rodzinnymi, jak i zawodowymi.

O co chodziło w tym konkursowym projekcie?

Espoo jest gminą o powierzchni zbliżonej do Warszawy i leży w bezpośrednim sąsiedztwie Helsinek. Wówczas miała status wiejski, ale ambicje jak najbardziej urbanistyczne. Zresztą już wcześniej w jej granicach powstało znane wśród architektów miasto ogród Tapiola. Istotnym zadaniem było więc wskazanie miejsca dla centrum gminy. Wybrano lokalizację w rejonie historycznego parafialnego kościoła i stacji kolejowej na linii Helsinki – Turku. Centrum miało mieć charakter usługowo-mieszaniowy. Zakładano, że liczyć będzie 90 tysięcy mieszkańców. Myślę, że nasza praca zyskała uznanie międzynarodowego sądu konkursowego ze względu na zaproponowane decyzje lokalizacyjne, zwłaszcza ratusza. W uzasadnieniu napisano, że projekt nawiązuje do krajobrazu i charakteru Finlandii. To nas umocniło w przekonaniu, że trafiliśmy dobrze w lokalny typ zagospodarowania, mimo że Finlandii właściwie nie znaliśmy i działaliśmy intuicyjnie. W efekcie naszego działania zostały uchwalone dwa plany miejscowe. Pamiętajmy, że architektura Finlandii uważana jest za najlepszą w świecie. Może dlatego w prasie polskiej nasza nagroda została nazwana „kusem w jaskini lwa”.

Kiedy plany zagospodarowania przestrzennego zaczęły wchodzić do miast jako obowiązujące dokumenty w sprawach rozwoju?

Grubo ponad sto lat temu. Pierwsze plany o charakterze regulacyjnym po-

wstawały jeszcze w okresie zaborów. Miasta bardzo silnie rozwinęły się w XIX wieku. To wtedy wielokrotnie zwiększały liczbę mieszkańców i powierzchnię. Wówczas już ten rozwój był uregulowany jakimiś formami planów. Przede wszystkim wyznaczano ulice, dokonywano parcelacji na tereny budowlane, określano linie zabudowy. W wielu tego typu działaniach bardzo mocno uczestniczyli geodeci, bo oni mieli odpowiedni warsztat. W latach międzywojennych pod Warszawą wielu właścicieli wielkich gospodarstw w związku z kryzysem wyłączało części swoich ziem pod budowę tak zwanych miast-ogrodów. Wiele z nich było projektowanych przez architektów, ale również wielu parcelacji dokonywał geodeta bez udziału architekta. Już w latach 20. XX w. podczas sporządzenia planu powiatu warszawskiego zauważono, że te parcelacje podmiejskie rozwijają się w sposób całkowicie spontaniczny, niekontrolowany. Zdecydowano, że powinno to mieć miejsce przede wszystkim wzdłuż linii kolejowych. I tak się stało, rzeczywiście rozwinęły się pasma wychodzące z Warszawy wzdłuż tras kolejowych. A nawet tam, gdzie nie było normalnej kolei, budowano kolejki wąskotorowe i przy nich osiedla. Co ciekawe, te kolejki były inwestycjami prywatnymi. Na przykład Konstancin powstał w wyniku parcelacji większego majątku, do którego doprowadzono wąskotorówkę.

Kiedy spaceruje pan po Warszawie, nie boli pana głowa od widoków paskudnej architektury?

Nie jestem taki krytyczny, bo staram się odczytywać bardzo wiele pozytywnych rzeczy, które się w Warszawie dzieją. Natomiast cały czas smutkiem napawa mnie rejon placu Defilad, który jest środkiem miasta, a wygląda bardzo prowincjonal-

nie. Jest to problem warszawski, zresztą wiążący się z kwestiami geodezyjnymi.

Jakimi mianowicie?

Bywa, że jest tu trzech właścicieli na jednym terenie – w pionie. Mamy kolej, mamy metro i mamy drogi.

A nie mamy katastru 3D.

W związku z tym właściwie nie wiadomo, do kogo teren należy, co można na nim wybudować, bo każdy stawia swoje warunki i często te warunki są nie do pogodzenia.

Był pan i jest nadal członkiem wielu organizacji urbanistycznych i architektonicznych. Jaka jest ich rola? Czy mają one faktyczny wpływ na urbanistykę?

Wszystkie organizacje mają znaczenie opiniodawcze. W poprzednim okresie prowadziły dodatkowo konkursy. Można było przez nie również znajdować jakieś kontakty z ówczesnymi władzami. Dzisiaj jest trochę gorzej. Kilka lat temu została powołana Izba Urbanistów zrzeszająca osoby, które mogły wykonywać projekty planów miejscowych i studiów. Ale ponieważ minister Jarosław Gowin doszedł do wniosku, że trzeba deregulować zawody, wpadł na genialny pomysł, żeby zlikwidować Izbę Urbanistów i wszystkim umożliwić opracowywanie planów miejscowych. Izby Urbanistów już nie ma, przestała istnieć w zeszłym roku.

Uważa pan, że to błąd?

Oczywiście, bo minister przede wszystkim zlikwidował zawód. Definicja urbanisty była zawarta w nieobowiązującej już ustawie, a teraz nigdzie takiego zapisu nie ma. Nie ma też szkoły, która by kształciła urbanistów. Żeby zostać członkiem Izby, trzeba było spełnić pewne warunki, udokumentować praktykę, mieć jakieś osiągnięcia w pracy. Dzisiaj właściwie nie wiadomo, kto może przygotowywać projekty planów miejscowych. Zawód jest otwarty, formalnie nie ma żadnych ograniczeń. Przedstawiciele Izby bardzo mocno działali, żeby te zmiany odwrócić, niestety, bez skutku. Posłowie proszeni o interwencję całkowicie się z nami zgadzali, że jest błąd w ustawie i trzeba go poprawić, ale później wszyscy głosowali jak maszynka. Taki mamy system, że jak rządzący coś wymyślą, to sprawa toczy się już dalej bez względu na jej sens.

Izba Urbanistów była samorządem zawodowym. Geodeci już od 20 lat próbują zorganizować swój samorząd i ciągle bez skutku. Czy warto się starać o taką izbę, czy lepiej dać sobie spokój?

Różnica w sytuacji urbanistów i geodetów polega na tym, że nie ma trybu nadawania uprawnień urbanistycznych. Wchodzą nowe roczniki, kolejne osoby kończą studia i pojawia się problem, jak

można by takie uprawnienia uzyskać. Jeśli więc macie uprawnienia geodezyjne, to jest już bardzo dużo. Czy powinniście dążyć do utworzenia izby uprawnionych geodetów? Moim zdaniem nie jest to kluczowa sprawa. Z przynależnością do Izby Urbanistów wiązało się wiele obowiązków, takich jak płacenie składek czy uczestnictwo w zjazdach. Likwidacja Izby nas z nich zwolniła.

Ale czy Izba pozytywnie wpływała na środowisko? Integrowała?

W założeniach integrowała, w praktyce bywało gorzej. Na przykład mimo prób nie udało się podnieść jakości wykonywanych planów miejscowych. Korporacja raczej broniła swoich członków, w związku z czym krytyka zawodu była niestosowna.

Był pan niedawno autorem dużego projektu dla Krakowa.

W 2007 roku prezydent Jacek Majchrowski zatelefonował do mnie, czy byłbym skłonny przedstawić ofertę pracy nad studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Krakowa. Oczywiście przedstawiłem taką propozycję. Z dwóch konkurencyjnych ofert prezydent wybrał moją i stworzyliśmy zespół projektantów. Studium składa się z dwóch części: uwarunkowań i kierunków. Przygotowaliśmy szczegółowe studium wszystkich uwarunkowań rozwojowych Krakowa i to znalazło uznanie zarówno komisji, jak i krakowskich polityków. Natomiast co do kierunków, pojawiły się kontrowersje. Przede wszystkim była silna presja na to, żeby otwierać nowe tereny pod zabudowę. Z moich wliczeń wynikało, że nie potrzeba tych terenów aż tyle, więc chciałem zabudowę skupić, aby uniknąć tej suburbanizacji, która miała miejsce w granicach miasta. Kiedy zmieniły się władze miasta i jednocześnie mój angaż się zakończył, zatrudnienie nie zostało odnowione. W związku z tym w obecnym studium uwarunkowania są naszego autorstwa, a kierunki – nowego zespołu, który został powołany później.

Czy ta presja na rozpraszanie zabudowy jest głównie ze strony urbanistów, czy raczej dużych inwestorów?

Przede wszystkim dużych inwestorów, bo po zabudowaniu tych terenów byłyby dla nich znaczące profity. Nie znaleźliśmy też dobrej płaszczyzny współpracy z krakowskimi urbanistami. Cały czas wyczuwaliśmy, że mają nam za złe to, że jesteśmy z Warszawy.

A czy pan rzeczywiście pochodzi z Warszawy? Wyczytaliśmy, że pana ojciec urodził się w Wyżnicy.

Urodziłem się w rodzinnym majątku mojej matki w Lipnicy Dolnej niedaleko

Jaśła. Natomiast Wyżnica jest dzisiaj na Ukrainie, ale ojciec miał w dokumentach wpisane Rumunina, a tak naprawdę to jest Bukowina. Ojciec skończył studia na Wydziale Architektury we Lwowie, najpierw pracował na Śląsku, w Katowicach, potem w Poznaniu i wreszcie przeniósł się do Warszawy. Tak więc przez matkę miałem związki z południem kraju, ale to nie miało żadnego wpływu na moje układy krakowskie, bo nie eksponowałem tego, że wywodzę się z galicyjskich Polaków.

Czy konkurował pan w zawodzie z ojcem?

Nie, ojciec zawsze był dla mnie bardzo pomocny w różnego rodzaju kwestiach formalnych. Jak przyjechaliśmy do Warszawy w 1948 roku, objął stanowisko dyrektora w Ministerstwie Budownictwa, ale to się szybko skończyło, bo nie chciał należeć do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, był zresztą człowiekiem bardzo religijnym. W związku z tym został zwolniony i pracował w „Miastoprojekcie”, gdzie zajmował się głównie weryfikacją projektów. Miał również swój udział w tworzeniu prawa budowlanego.

Również pana syn jest architektem, więc tradycja rodzinna jest kontynuowana.

W pewnym zakresie nawet ze sobą współpracujemy. Jeśli więc mogę się poszczycić jakimiś realizacjami architektonicznymi, to właśnie w związku z tą współpracą. Głównie dotyczą one architektury szpitali. Ostatnio naszą ciekawą realizacją była rozbudowa szpitala dziecięcego przy ul. Kopernika w Warszawie.

Podobno lubi pan również fotografować architekturę?

Architekturę tak, ale to nie są zdjęcia poszczególnych budynków. Lubię fotografować, jak ludzie zachowują się w przestrzeni urbanistycznej. Pozwala to na wyciąganie pewnych wniosków, w jaki sposób te przestrzenie funkcjonują. Są na przykład takie przestrzenie, gdzie ludzie siedzą, są takie, gdzie chodzą, gdzie rozmawiają, gdzie wykonują jakieś czynności gospodarcze. Nie zawsze to podglądanie się udaje. W zespołach mieszkaniowych, zwłaszcza za granicą, często brakuje ludzi. Jest pusto. Można się zastana-

wiać, czy tam w ogóle ktoś mieszka. Ale jak już zauważę przechodnia, to staram się pstryknąć zdjęcie. Wkrótce w Oficynie Wydawniczej PW ukaże się moja najnowsza książka „Teoria i praktyka planowania przestrzennego w Europie”, gdzie właśnie będzie dużo takich zdjęć.

Rozmawiali: Katarzyna Pakuła-Kwiecińska i Zbigniew Leszczewicz

Pełna wersja wywiadu bogato ilustrowana zdjęciami oraz uzupełniona obszerną notą biograficzną zostanie opublikowana w rocznicowym albumie „Poczet Profesorów”, który ukaże się na rynku na początku 2016 r.

Jaki jestem?

- 1. Główna cecha mojego charakteru**
Nie jestem psychologiem, nie wiem
- 2. Co cenię najbardziej u przyjaciół?**
Szczerość
- 3. Moja główna wada**
Często odczuwam niedosyt w kontaktach z ludźmi
- 4. Moje ulubione zajęcie**
Zwiedzanie i fotografowanie
- 5. Moje marzenie o szczęściu**
Wiąże się z domem, rodziną
- 6. Co wzbudza we mnie obsesyjny lęk?**
Kiedy wsiałam do samochodu i jadę na większą wycieczkę, obawiam się, że coś się może zdarzyć, ale to nie jest obsesja
- 7. Kiedy kłamię?**
Są dwa powody: jeśli komuś nie chcę zrobić krzywdy, przykrości, a drugiego powodu nie mogę ujawnić
- 8. Słowa, których nadużywam**
Może „wydaje mi się”
- 9. Ulubieni pisarze**
Będę trochę tradycyjny, zawsze odpowiadał mi Sienkiewicz
- 10. Czego nie cierpię ponad wszystko?**
Nie lubię ludzi nieszczerych
- 11. Dar natury, który chciałbym posiadać**
Lepszy kontakt z ludźmi
- 12. Błędy, które najczęściej wybaczam**
Pomyłki, błędy ludzkie popełnione niechcący
- 13. Czego zazdroścę innym?**
Spektakularnych sukcesów, zwłaszcza w architekturze
- 14. Książka, którą zapamiętałem**
Ciągłe chodzi mi po głowie „Egipcjanin Sinuhe”
- 15. Co wzbudza stale mój podziw?**
No właśnie ta łatwość kontaktu z ludźmi, w czym np. mój syn jest genialny
- 16. Czego nigdy nie zrobiłem, choć chciałem?**
Chciałem być projektantem jakiegoś wspaniałego dzieła architektonicznego